

wybacz



BIANCA IOSIVONI

wybacz



to dla
twojego
dobra

Przełożyła Katarzyna Łakomik



Tytuł oryginału: *Sorry. Ich habe es nur für dich getan*

Copyright © 2022 by Penguin Verlag
a division of Penguin Random House Verlagsgruppe GmbH,
München, Germany

Fotografia autorki: Michael Bader

Copyright © for the polish translation by Katarzyna Łakomik

Redakcja: Magdalena Wołoszyn-Cępa
Korekta: Renata Kuk
Skład i łamanie: Cyprian Zadrozny
Projekt okładki i stron tytułowych: Krzysztof Rychter

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-387-7

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

Druk i oprawa: Opolgraf
Wydrukowano na papierze CHB 60/2,4,
dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

Niniejsza książka zawiera treści,
które mogą Was striggerować.
Dlatego na stronie 359
znajdziecie ostrzeżenie.

Dla Ciebie.
Wytrzymaj.
Walcz dalej.

PROLOG

- Ma pan prawo zachować milczenie.
- To nie ja. Nie mam z tym nic wspólnego!
- Wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu w sądzie.
- Robyn! Spójrz na mnie. Nie zrobiłem tego.
- Podczas każdego przesłuchania ma pan prawo do korzystania z pomocy obrońcy. Jeśli nie stać pana na obrońcę, zostanie on panu przydzielony z urzędu.
- Robyn!
- Zrozumiał pan swoje prawa?

ROZDZIAŁ 1

TERAZ
CZERWIEC

W niektóre dni chciałabym widzieć, jak świat płonie. A raczej ludzkość. Przynajmniej niektórzy ludzie. Na moje nieszczęście dzisiaj leje jak z cebra, więc raczej do tego nie dojdzie. Ale i tak nie mogę się oderwać od najnowszych wiadomości, gdy jadę autobusem, który wlecze się stanowczo za wolno, raz pnąc się w górę, raz zjeżdżając w dół po ulicach San Francisco. I tak już jestem spóźniona... I jeśli zaraz nie uda mi się przestać o tym myśleć, to chyba oszaleję. Dlatego w ten czerwcowy poranek po prostu dalej scrolluję nagłówki dnia.

Negocjacje pokojowe na obszarze objętym wojną zakończone fiaskiem. Nowy rekord emisji CO2. Kolejne próby raketowe w Korei Północnej.

Nie, to wcale nie polepsza sprawy. Z westchnieniem klikam na wiadomości regionalne.

San Francisco 49ers przegrywają z Indianapolis Colts. Masakra w San Francisco. Opóźnienie prac budowlanych na moście Golden Gate pomimo wzrostu liczby samobójstw. Zapowiedź masowej demonstracji przeciwko aborcji podczas nadchodzącego weekendu.

Okej, dość. Blokuję ekran i wsuwam telefon do torebki.

Wystarczy, że zasnęłam, jakiś człowiek przed kafejką wylał gorącą kawę na moją białą bluzkę i wyszłam na ulewę bez parasola i kurtki. Każdego innego dnia nie byłby to koniec świata, ale odkąd w zeszłym tygodniu bez pytania zostawiłam swój artykuł na biurku Monique, redaktorki naczelnej, byłoby lepiej, gdybym się nie spóźniła do pracy w poniedziałek po weekendzie. Zwłaszcza że zależy od tego moja kariera zawodowa.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy często próbowałam zejść dalej w redakcji, lecz jak dotąd bez powodzenia. Ale też jak na razie nie udało mi się zaprezentować Monique tak świetnie napisanego i wyczerpującego temat artykułu. A teraz, zamiast siedzieć przy swoim biurku w o wiele za bardzo hałaśliwym biurze w Tenderloin, jak przystało na wzorową pracownicę, wciąż tkwię w autobusie, przemoczona i z plamą po kawie, której nie sposób nie zauważyć, i wpatruję się w spływające po szybie wielkie krople.

Z frustracją wycieram rozmazany tusz pod oczami, choć pewnie tylko pogarszam sprawę, i zakładam słuchawki. Poranek jest mglisty, ale to akurat nie jest niczym niezwykłym w San Francisco. Deszcz i grzmoty, które docierają do moich uszu mimo muzyki w słuchawkach, są natomiast rzadziej spotykane. Ale przynajmniej ta apokaliptyczna pogoda pasuje do mojego aktualnego nastroju.

Kiedy autobus w końcu zatrzymuje się na moim przystanku na Eddy Street po trwającej całej wieczność jeździe, podrywam się z miejsca, przeciskam między pasażerami i wybiegam na chodnik.

Przemykam na drugą stronę ulicy, mijam kuriera na rowerze, który nagle hamuje przed małą pizzerią, i wreszcie docieram do wejścia wieżowca, w którym oprócz biur innych firm mieści się siedziba redakcji naszego portalu informacyjnego.

Zimne dreszcze na karku powodują, że zastygam. Mój puls zaczyna szaleć. Instynktownie zatrzymuję się w miejscu i kulę

ramiona. Zamiast wejść do suchego budynku, ustępuję miejsca mężczyźnie z teczką, który omal na mnie nie wpada. Powoli się odwracam. Mój wzrok przelatuje gorączkowo z przystanku autobusowego i sklepów po drugiej stronie ulicy do pizzerii i hotelu na rogu. Wciąż pada i nie widać końca ulewy. Błyskawica rozświetla szare niebo nad drapaczami chmur. Zaraz potem rozlega się przerażający huk. Ale ani ludzie spieszący w deszczu, ani dwóch bezdomnych, którzy znaleźli schronienie w bramie, nie zwracają na mnie uwagi. Nic nie uzasadnia tego ostrzegawczego mrowienia na moim karku.

Tylko Alan, portier, rzuca mi zza szklanych drzwi lubieżne spojrzenie, chociaż mógłby być moim ojcem. Ale gapi się na mnie również wtedy, gdy moja bluzka nie przykleja się do ciała i nie prześwituje jak dziś.

Próbuję się otrząsnąć z tego przytłaczającego uczucia bycia obserwowaną, ale nie potrafię zapanować nad ciarkami, które przebiegają mi po plecach razem z kroplami deszczu.

Ostatnie spojrzenie przez ramię i wchodzę do obszernego foyer. Moje buty skrzypią przy każdym kroku, gdy nie zerkając na Alana, mijam go, zostawiając na podłodze z drogiego marmuru kałuże powstałe ze ściekających ze mnie kropel.

Jessica, jedna z dwóch recepcjonistek, podnosi się ze współczującym uśmiechem i podaje mi kilka papierowych chusteczek, które z wdzięcznością przyjmuję. Jeśli dalej będzie tak łało, jedno opakowanie może jej nie wystarczyć.

Dopiero w windzie zdobywam się na odwagę, by wziąć głęboki oddech, po czym wciskam przycisk z numerem dwadzieścia dwa. Po dotarciu na górę natychmiast kieruję kroki do damskiej toalety, by się osuszyć. Jestem wprawdzie spóźniona, ale muszę przynajmniej spróbować uratować to, co jeszcze się da.

Jedno spojrzenie na odbicie w lustrze mi wystarcza. Moja cera jest blada, a moje oczy są zaczerwienione, bo mam za sobą koszmarną noc. Bluzka przykleja mi się do ciała, deszcz oczywiście nie zmył plamy po kawie, tylko ją rozmazał, a mój niby-wodoodporny tusz do rzęs spływa mi po policzkach.

Z frustracją zdmuchuję włosy z twarzy. A przynajmniej staram się to zrobić, ponieważ nie chcą nawet drgnąć, klejąc się do czoła. Odkąd jakieś cztery tygodnie temu ścięłam grzywkę na skos, kosmyki ciągle wpadają mi do jednego oka, ale teraz są przemoczone i przylizane, podobnie jak reszta ciemnobrązowych włosów, które również padły ofiarą mojego ataku nożyczkami kuchennymi. Odkąd pamiętam, zawsze nosiłam długie włosy. Teraz nie sięgają mi nawet do ramion.

Jakimś cudem, za pomocą chusteczek i zawartości torebki, udaje mi się doprowadzić choć częściowo do porządku i stworzyć iluzję, że naprawdę jestem żywą i funkcjonującą członkinią społeczeństwa. Chwała makijażowi i zapasowym podkoszulkom.

Dziesięć minut później wchodzę do redakcji, która oczywiście jest już pełna. Panuje codzienny zgiełk. Ludzie się kręcą, telefonują, dyskutują i stukają w swoje klawiatury. Zmierzając do swojego biurka pomiędzy stolikami, udaję, że czytam pierwsze służbowe maile na telefonie. Może uda mi się ukryć ponadgodzinne spóźnienie. Jeśli nie będę zwracać na siebie uwagi i nikt mnie nie zagadnie, moje szanse wzrosną.

Nie mogę jednak przestać zerkać do biura Monique, gdy je mijam. Widzę przez szklane ściany, że rozmawia przez telefon i... zauważa moje spóźnienie. Cholera. Nie tak to miało wyglądać.

Wreszcie docieram do swojego biurka w prawym, najdalszym kącie redakcji, rozwieszam mokrą bluzkę na kaloryferze i opadam

na niewygodny fotel obrotowy. Nareszcie! Ale gdy już zamierzam odłożyć telefon, czuję w dłoni jego wibracje, informujące o nadejściu nowej wiadomości.

Od Coopera.

Mój żołądek lekko podskakuje, a serce nagle zaczyna walić. Nienawidzę siebie za tę reakcję, ale nic nie potrafię na nią poradzić.

Jak poszło? Co mówiła?

Od ponad tygodnia zamęczałam go swoim artykułem, więc teraz, po tym jak go wreszcie oddałam, chciałby się oczywiście dowiedzieć, jak przebiegła rozmowa z naczelną.

Zanim zdążę odpowiedzieć, wysyła mi zdjęcie wyraza. Mała małpka spogląda swoimi wielkimi, wylupiastymi oczami prosto w obiektyw, obejmując gałąź długimi palcami swoich drobnych łapek.

Jaki słodziak!

Jeszcze przed chwilą chciałam patrzeć, jak świat płonie, ale teraz kapituluję wobec tej porcji słodyczy. Urocze zwierzątka z wielkimi, wylupiastymi oczami sprawiają, że wymiękam, a skubaniec Cooper dobrze o tym wie. Ilekroć na studiach byłam na niego z jakiegoś powodu wkurzona, miałam zły dzień lub po prostu nienawidziłam ludzkości, Cooper wysyłał mi zdjęcia słodkich zwierzączków, sprawiając, że natychmiast czułam się lepiej.

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu na ustach, gdy mu odpowiadam. Potem szybko odkładam telefon, włączam komputer i udaję, że siedzę tu i pracuję od paru godzin.

Nie jest to dla mnie praca marzeń, a przynajmniej nie postrzegam tak zadań, którymi muszę się tu zajmować. Bywają dni, że wręcz jej nienawidzę. Ale dzięki niej mogę opłacić rachunki i mam

ładny widok na pocztówki i zdjęcia z całego świata, które wiszą na tablicy korkowej z boku. Sama nie byłam w niemal żadnym z tych miejsc, bo ciągle brakowało mi funduszy, a teraz niestety brakuje mi również czasu. Niektóre z pocztówek przysłali mi rodzice, inne pochodzą z podróży mojej siostry Sary, a jeszcze inne od dawnych znajomych z college’u, z którymi dawno straciłam kontakt. Mimo to zachowałam te kartki. Uwielbiam na nie zerkać i czasami wyobrażam sobie, jak by to było uciec od tego wszystkiego i zacząć zwiedzać te wszystkie miejsca, poznawać nowych ludzi, nowe kraje i kultury. I pisać o tym.

Opieram się na fotelu i próbuję wypatrzeć Monique w jej biurze. Nie jest to wcale takie łatwe z najbardziej odległego kąta open space’u, ale udaje mi się ją dostrzec. Wygląda na to, że wciąż rozmawia przez telefon.

Najchętniej poderwałabym się z miejsca, pobiegła tam i spytała ją, czy zdążyła już przeczytać mój artykuł. Zamiast tego mobilizuję się do wykonania zadań z mojej listy rzeczy do zrobienia – czterech badań i poprawek dla redaktorów. Jestem pewna, że do południa pojawi się jeden czy dwa artykuły, które będę musiała uratować. Ach, nie, edytować. Kiedyś miałam nadzieję, że to jedynie szczebel na drabinie kariery. Dawno już pożegnałam ten naiwny entuzjazm. Mam już serdecznie dość szlifowania cudzych tekstów na wysoki połysk i przyglądania się, jak inni kasują za nie pochwały i uznanie.

– Przynajmniej nie są to już nekrologi – mruczę pod nosem i otwieram pierwszy dokument.

Tak, przynajmniej tyle.

Następne kilka godzin mija mi błyskawicznie, bo mimo braku motywacji rzucam się w wir pracy. Podnoszę wzrok dopiero w momencie, gdy pada na mnie cień.

– Masz chwilę? – pyta Monique, siadając na krawędzi biurka. Prostuję plecy.

– Jasne.

Zaraz zaczniesz się przerwa na lunch, a moje włosy na szczęście są już suche.

– Przeczytałam twój artykuł.

– I...? – pytam, starając się nie pokazać po sobie zniecierpliwienia i podenerwowania.

– Postąpiłaś dość odważnie, zostawiając mi go bez pytania. Tekst jest dobrze napisany – mówi, przeciągając sylaby. O nie. Zaraz pojawi się „ale”. Po prostu wiem, że zbliża się wielkie, tłuste „ale”. – Ale to nie jest coś, co chcielibyśmy tutaj publikować w tym formacie. Jesteś świetna w redagowaniu pracy innych dziennikarzy i chciałabym cię zatrzymać na tym stanowisku. Na razie – dodaje z protekcjonalnym uśmiechem i wstaje.

Wbijam wzrok w niewidzialny punkt przed sobą, podczas gdy moje myśli szaleją.

Zawsze marzyłam o pracy dziennikarki. A teraz zaprzepąściłam swoją pierwszą prawdziwą szansę? Kurczę, nie! Jestem dobra w redagowaniu tekstów, ale wiem, że mogłabym się rozwinąć, gdybym mogła pisać swoje artykuły. Gdyby w końcu pozwolono mi to robić.

Spoglądam w kierunku przeszklonego gabinetu Monique. Mogłabym po prostu tam pójść, powiedzieć jej, co o tym myślę, i złożyć wypowiedzenie. Ale potrzebuję tej forsy. Poza tym skłamałabym, twierdząc, że ostatnie dwa słowa jej wypowiedzi nie podsyciły mojej ambicji. Wiem, co potrafię. Muszę jej to tylko udowodnić.

W drodze do ekspresu do kawy w pomieszczeniu socjalnym układam w głowie plan, kiedy nagle podchodzi do mnie Brendan, dziennikarz po pięćdziesiątce, prawdziwy dupek, a we własnych

oczach – prawdziwy dar dla ludzkości dany od Boga. Zanim zdążę zawrócić, zauważa mnie.

Ten dzień po prostu nie będzie lepszy.

– Hej, Claymore – wita mnie z uśmiechem, który inni sklasyfikowaliby jako uroczy. Mnie zawsze wydawał się wymuszony. Może dlatego, że widzę go tylko wtedy, gdy Brendan czegoś ode mnie chce. Jak na przykład dziś. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Tak, to akurat było fajne. – Mijam go spokojnie i podchodzę do ekspresu.

Przez chwilę wpatruje się we mnie skonsternowany, po czym wybucha przesadnie głośnym śmiechem i podąża za mną.

Jesteśmy sami. Za dziesięć do piętnastu minut pozostali pracownicy zaczną się tu schodzić niczym wygłodniałe zombiaki. Chociaż Brendan nigdy szczególnie mnie nie wkurzał z tą swoją arogancją, moje ramiona automatycznie się napinają. Staram się niczego po sobie nie pokazać i z pozornym spokojem kontynuuję parzenie kawy dla siebie. Przeklinam się w duchu za to, że nie pijam czarnej, tylko potrzebuję do niej mleka owsianego i cukru.

– Niezły suchar. – Brendan opiera się o blat obok mnie. – Zapomniałem, jaka z ciebie żartownisia.

Wierzę. Większość ludzi myśli, że żartuję, a ja nawet nie jestem zabawna, tylko brutalnie szczerą.

– Czego chcesz oprócz marnowania swojego i mojego czasu? – sarkam, mając nadzieję, że pozbędę się go tak szybko, jak to możliwe.

– Fajnie, że pytasz. Monique odrzuciła mój ostatni artykuł. Za długi. Za dużo w nim wypełniaczy. Musisz go jeszcze raz zredagować.

Chciałabym być zaskoczona, ale nie jestem. Tekst był okropny i wiem, że nawet ja nie zdołam zamienić w złoto tej kupy łajna.

Nie wspominając o fatalnym researchu. Jednak w tej robocie szybko nauczyłam się trzymać buzię na kłódkę i robić swoje, jeśli nie chcę zostać wylana. Przynajmniej ta część mojej pracy jak na razie idzie mi całkiem nieźle.

– Zobaczę, co da się zrobić – poddaję się z niechęcią i zalewam espresso spienionym mlekiem owsianym. Pewnie będę musiała napisać ten durny artykuł od nowa, bo po prostu nie da się go naprawić. A wtedy Brendan zgarnie za niego całe brawa. Jak zwykle. Podczas gdy mój tekst nie zostanie nawet opublikowany...

Narasta we mnie frustracja. Nie po to przez pięć lat studiowałam w City College i Berkeley i przeżyłam osiem miesięcy w tym piekle, by przez resztę życia odwalać za innych brudną robotę.

Mogło być gorzej, odzywa się cichy głos w mojej głowie, a ja zastygam w bezruchu. Mogło być o wiele gorzej.

Bez słowa mijam Brendana i wychodzę z pokoju socjalnego. Zmierzam przez biuro prosto do swojego telefonu. Chcę znów spojrzeć na uroczne zdjęcie, które przysłał mi Cooper.

– Robyn Claymore? – rozlega się nagle obcy głos.

Wzdrygam się i podnoszę głowę.

– Tak?

Obok mojego biurka stoi nieznamąca kobieta.

Wygląda na trzydziestkę lub czterdziestkę, ma proste czarne włosy związane w ciasny kucyk z tyłu głowy i ubrana jest w długi płaszcz, na którym lśnią krople deszczu. Na pierwszy rzut oka wygląda zupełnie zwyczajnie, jak każdy, kto przychodzi do redakcji na wywiad czy rozmowę kwalifikacyjną. To, co nie wygląda zwyczajnie, to jej poważna mina. I odznaka policyjna przy jej pasku.

– Nazywam się Vicario i jestem śledczą – przedstawia się. – Z departamentu policji w San Francisco.

Serce zaczyna mi walić. Moje myśli natychmiast wędrują do mojej siostry i jej córeczki. Do Coopera. Do rodziców.

– Czy... Czy coś się stało?

– Chciałabym z panią porozmawiać, panno Claymore. – Krótka pauza. A po chwili dodaje: – Chodzi o pani partnera, Juliana Richardsona. Dziś rano zgłoszono jego zaginięcie.